

Mieczysław Gachowski

I/873

(relacja nagrana w lipcu 1995r. w Gliwicach  
przez Małgorzatę Giżejowską)

Urodziłem się w 1920 r.

W 1939 r. byłem po maturze. W szkole należałem do harcerstwa, ale moja sprawa dotyczyła czego innego. Już po wybuchu wojny zaczęła się tworzyć ~~szkoła~~ siatka oporu. I po 17 września zaczęły się aresztowania wszystkich podejrzanych o jakąkolwiek działalność.

Ja w zasadzie jeszcze nic nie wiedziałem, bo byłem dopiero po rozmowie z moim kolegą, który proponował zorganizowanie takiej grupy. Ja się oczywiście zgodziłem, ale nic jeszcze nie zdążyliśmy zrobić. Jesienią złożyliśmy przysięgę. Fala aresztowań trwała już od jesieni; co 2 tygodnie zabierali kogoś – i to właśnie z naszego grona – studentów z młodszych lat, maturzystów itp.

Mieszkaliśmy w Brodach. Ojciec był nauczycielem gimnazjalnym, matka też nauczycielką, ale w tym czasie już nie pracowała.

Pod koniec roku, kiedy aresztowania się wzmożyły, rodzice powiedzieli mi, że nie ma na co czekać, bo mnie też zaaresztują i zaproponowali wyjazd do babci mieszkającej we Lwowie. I pojechałem do Lwowa. Tam bardzo dobrze mi się powiodło, bo handlowałem czym się dało (wódkę woziło się na wieś, tam się kupowało mięso, słoninę itd.).

Po pewnym czasie zorientowałem się, że jednak jestem uciążliwym gościem dla babki – jako młody człowiek lubiący towarzystwo itd., więc po naradzie telefonicznej z ojcem pojechałem do stryjka do Baranowicz. W konspiracji jeszcze nie działałem, byłem tylko ~~po~~ tej wstępnej, wspomnianej rozmowie z kolegą.

Po dwumiesięcznym pobycie w Baranowiczach dowiedziałem się, że w Brodach nic się nie dzieje, jest spokojnie, więc wróciłem do domu. Ja się z domu nie ruszałem, ojciec pracował w jakiejś ruskiej szkole. Myśmy wszyscy wychowali się wśród Ukraińców i Białorusinów, więc każdy z nas mówił dobrze po rusku i po ukraińsku. Były tam różne hajdamackie wybryki....

Nas w klasie było 34, w tym 14-tu Polaków, kilkunastu Ukraińców i prawosławnych, a reszta Żydzi. Ja mam nawet do tej pory takie szkolne tableau, metrykę z kościoła, świadectwo maturalne – matka wszystko zachowała. Jeśli chodzi o stosunki w szkole to czasem, owszem, pociągnęło się Żyda za pejsy, a Ukraińcowi powiedziało się to i owo, ale za chwilę wszystko było w porządku i ra-

zem graliśmy w piłkę, chodziliśmy na ryby itp. Ja nie widziałem żadnego prześladowania innych narodowości ze strony Polaków. A NKWD aresztowało równo wszystkich. Dyrektorem naszej szkoły był pan Sołtysik – pan z wielkimi wasami – też dawny Sybirak – jeszcze za cara. Wykładał łacinę i mowy nie było o jakiegokolwiek dyskryminacji, każdemu się dostało, bez względu na narodowość, zresztą ja sobie nie wyobrażam tego. Było dwóch nauczycieli Żydów – dr Berchaud (?) – historyk i polonista – fantastyczny człowiek, a drugi – dr Czaczkis Mendel....., nazywany przez nas Le<sup>ś</sup>szek-Mieszek – uczył niemieckiego. Późno zaczął nas uczyć, a przedtem był Ukrainiec – prof. Cinciruk, ale ten nie umiał uczyć – do dzisiaj nie umiem po niemiecku. I żadnej dyskryminacji nie było. Ale były inne problemy – na innej płaszczyźnie.

Po jakimś czasie przychodzi goniec do domu z zawiadomieniem z magistratu, że mam się stawić do wojska – czyli do Armii Czerwonej. I – proszę sobie wyobrazić, że ja poszedłem do magistratu. Nie widziałem innego wyjścia, bo gdybym nawet uciekł, to represje spotkałyby rodziców. W magistracie podałem żądane dokumenty ~~faktem~~ wojskowemu rosyjskiemu. Była taka duża sala, jak zwykle w komisjach poborowych, ale tu ja byłem sam jeden. Kazał mi zaczekać, za chwilę przyszedł jakiś cywil, coś poszeptali i zwracają się do mnie: wojskowy wyciąga z kieszeni rewolwer i pyta, czy ja wiem co to jest. Mówię, że wiem – rewolwer. A on: "Teraz zrobisz krok w lewo, krok w prawo, będę strzelał bez uprzedzenia, a teraz ręce do tyłu i chodź ze mną." – Ja nie wiedziałem o co chodzi, a on mnie po prostu w taki sposób aresztował! Dopiero po pewnym czasie dowiedziałem się, że chodziło o tę organizację " o której wiedziałem, a nie doniosłem". – Był to 52 art. k.k.

Był to początek lata 1940 r. Jakiś czas siedziałem w Brodach.

W Brodach milicja była złożona z miejscowych ludzi – przeważnie z Ukraińców. Jeden z nich od razu poszedł do moich rodziców i zawiadomił ich o moim aresztowaniu. Matka naszykowała mi zaraz jakieś ubranie (wyszedłem przecież w samej koszuli), spytała, czy może dać mi coś do jedzenia, milicjant się zgodził i wszystko przyniósł mi do więzienia. Z okna więzienia – daleko za murem można było coś zobaczyć, więc matka często tam przychodziła i kiwaliśmy do siebie.

Każdy z nas miał oddzielną celę. Śledztwo trwało ze dwa tygodnie – o różnych porach doby. Pytali bez przerwy o to samo – nazwiska, kto mi powiedział o tej organizacji, kogo znam itd. A ja już wiedziałem, że ten kolega, z którym rozmawiałem o organizacji – już siedzi, bo widziałem go jak spacerował na podwórku więziennym. Podałem więc jego nazwisko. Okazało się, że "on skazał to samo". Powiedziałem wszystko co wiedziałem, bo niewiele wiedziałem. Oni ciągle nie mogli uwierzyć, że nikomu więcej o tej

organizacji nie powiedziałem. A ja nie mówiłem, bo nie miałem komu mówić.

W końcu kazali mi przeczytać i podpisać protokół. Broniłem się, że nie umiem czytać po rosyjsku, mówię tylko po ukraińsku, ale w końcu podpisałem. Po śledztwie siedzieliśmy już we wspólnej celi.

Wkrótce przewieźli nas do Złoczowa – w lutym 1941 r. Tam była rozprawa. Sądziła nas "Trójka". Pozwolili nawet rodzinom przyjechać na ten sąd. W ~~tej~~ mojej sprawie sądzono 24 osoby, tych, którzy należeli, którzy byli wodzami... Ja z kolegą Zbyszkim Matuszyńskim mieliśmy ten sam paragraf – 52. Ale ja dostałem 5 lat obozów pracy, a on tylko 3 lata zsyłki do Krasnojarska – nie wiem dlaczego. Jeden z kolegów – Mieczysław (Dzidek) Freudenberger (mieszka teraz w Anglii) też dostał 5 lat. Również był na Kołymie i był najbardziej poszkodowany bo stracił tam oko. Jego brat – Bolesław Freudenberger dostał wyrok śmierci, podobnie jak ich kuzyn Stefan. Ich przewieziono ze Złoczowa do Winnicy. I stamtąd udało się im uciec – w trakcie jednego z nalotów (już w 41 r.?).

W Londynie mieszka jeszcze Tadek Skupień – też był z naszej sprawy.

W Złoczowie siedziałem niedługo – jeszcze był śnieg jak jechaliśmy koleją transsyberyjską. Nie wiedzieliśmy oczywiście gdzie jedziemy. W wagonie było nas 40-tu. Były to czerwone towarowe wagony z piecykiem w środku i z otworem do załatwiania się. Z jedzeniem było śmiesznie, bo im dalej w głąb Rosji, to dostawaliśmy coraz większe ryby.

Ze Złoczowa najpierw przewieźli nas do Charkowa – do więzienia. Przy każdym dłuższym postoju rozdzielali nas, mieszały, potem znów rozdzielali – i tak cały czas. Byliśmy oczywiście z kryminalnymi i to z samą "wierchuszką".

W Charkowie w celi było nas 60-ciu. Połowę celi zajmowali "bytowicy", reszta była dla politycznych. Wśród nich: Polacy, Rumuni, Mołdawianie, Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy – zupełnie wymieszani. Wśród nich byli i zupełni analfabeci, i rolnicy, i inteligencja, byli pod 60-kę, byli i 18-letni – każdy mówił, że siedzi za nic.

W tej celi prowodyrem był bandzior, chyba jakiś morderca, prymityw. Miał takiego pomocnika-zausznika, rzekomo inżyniera wojsk kolejowych, który siedział za to, że jakąś lokomotywę zamienił na wódkę. Razem z nimi trzymał się kapitan żeglugi wielkiej handlowej, który siedział za to, że jego matka była Polką, a on powiedział, że ~~to~~ zajęcie Polski przez sowietów było niepotrzebne. Kapitan bardzo ładnie śpiewał. Czasem, jak herszt się rozczulił, to kazał mu śpiewać; do dziś pamiętam jego piosenki.



Z Charkowa po pewnym czasie wyjechaliśmy nie wiadomo gdzie. Myśmy (polityczni) siedzieli w kącie i baliśmy się oddychać – przed tymi błatnymi. A oni zrobili sobie dziurkę przy drzwiach i obserwowali przez jakie stacje jedziemy. Były to: Penza, Orzeł, Swierdłowski, Za Uralem (którym się zachwyciałem – był śliczny) zaczęli nam drzwi otwierać.

Jedzenie było znośne. W Penzie dostaliśmy rybki – tiulki i kociołki wody (wrzątku z lokomotywy. Muszę przyznać, że pragnienia specjalnie nie odczuwałem, tylko ryb przedtem nie lubiłem..W Pietropawłowsku dostaliśmy "kamsę" – już dość dużą rybę, a za Irkuckiem to ryby były olbrzymie. Wszystkie były oczywiście suszone i solone. Od czasu do czasu dawali zupę – owsiankę – "uchę", w której pływały rzadkie ziarna owsa i ości ryb.

Po drodze odczepiali wagony i zostawiali ludzi – czasem po prostu wyrzucali w śnieg, zwłaszcza w Kraju Krasnojarskim.

Myśmy dojechali do Buchty Nachodka. Tam był obóz przejściowy, w którym było może kilkuset więźniów (tak mi się wydaje). Tam pracowałem w brygadzie, która w porcie rozładowywała amonit (materiał wybuchowy).

Nie pamiętam momentu załadowania na statek ani nazwy statku. Był duży, towarowy. W ładowni, w której ja siedziałem było nas bardzo dużo. W czasie całej podróży dostaliśmy dwa razy chleb....

## I B

Chleb przynosili w bochenkach. Zdaje się, że jeden bochenek był na sześciu ludzi – kto zdobył to miał. Na podstawie ilości tych bochenków, które przynoszono do nas obliczamy, że było nas.....

Raz zdarzyło się, że jakiś żulik – 14–16–letni – rozciął nożem tę plachtę z chlebem, wszystko się rozsypało, ludzie się rzucili, było okropne zamieszanie, strażnicy wyszli na pokład – "róbcie sobie co chcecie".

Na pokład można było wychodzić tylko za swoją potrzebą o oznaczonej porze. Płynęliśmy cieśniną La Perouse' a. Jak zbliżaliśmy się do Wysp Japońskich to strażnicy zeszli na dół z bronią gotową do strzału i kazali nam być zupełnie cicho. Rzekomo kiedyś był jakiś bunt na statku, wrzawa, podpłynęli Japończycy i zabrali więźniów.

Nie potrafię powiedzieć ile czasu płynęliśmy. W Magadanie znowu czekaliśmy na uformowanie konwoju. Zaprowadzili nas do obozu przejściowego. W moim baraku była chyba setka ludzi. Oprócz mnie nie było żadnego Polaka. W tym obozie pracowaliśmy przy ja-

kichś pracach porządkowych – czekając na transport. Cały czas byliśmy kryminalnymi, ale to się już zaczęło zacierać – nawet w tak krótkim czasie. Na statku było strasznie, bo kryminalnych było bardzo wielu. Ale w Magadanie rządził już "starszy" – to mógł być i kryminalny i polityczny – zależy, który przejął inicjatywę. I np. w stołówce "starszy" opiekował się i rządził czwórką więźniów. Np. w stołówce on rozdawał zupę – do jednej miski na czterech i dawał po kolei i sprawiedliwie każdemu. Tam też dawali zupę z "galuszkami" z owsa. Łyżki mieliśmy drewniane – dali nam w obozie, a później sami sobie robiliśmy. Miski też były obozowe – blaszane.

Z Magadanu pojechaliśmy na pryisk złota. Jechaliśmy dwa dni na północny-zachód. Tam nie było żadnego posiołka, żadnej nazwy, więc zupełnie nie wiem jak się ten pryisk nazywał. Wydaje mi się, że było to w pobliżu Siejmczanu, ale nie jestem pewny.

Krajobraz Kołymy bardzo mi się podobał – naprawdę było tam bardzo ładnie. Ja zawsze marzyłem aby podróżować koleją transsyberyjską....

W tym nowym obozie (baraki już były zbudowane – drewniane – jak wszędzie) pierwszego dnia zapoznali nas z porządkiem dnia. Praca trwała 12 godzin – albo w dzień albo w nocy. A ponieważ były białe noce to nie miało znaczenia.

Brygadierem w pracy też był więzień i tak potrafił ustawić robotę i dogadać się z władzami, że ja np. zawsze wyrabiałem normę powyżej 100%.

Trzeba było rozpalać ogniska żeby rozmrozić wierzchnią warstwę gruntu (wieczna zmarzlina) i dostać się do piasków złotonośnych. Te ogniska musiały palić się całą dobę. Potem kopało się szurfy, czasem na głębokość 50 cm, czasem takie, że cały człowiek się schował. Urobek trzeba było wywozić taczkami. Ponieważ ja byłem słabym rozwinięty fizycznie (taki inteligencik 20-letni) więc było mi ciężko. Norma była obliczana w metrach sześciennych ziemi; dzienna norma na jedną brygadę (14 ludzi) wynosiła 14msześc. ziemi.

Do płukania złota z tego urobku służyła tzw. butara – rodzaj sit z pochylonym dnem. Najpierw robiło się odwierty i badało próbki – czy opłacało się w danym miejscu kopać – to robili geolodzy. Poza tym było wielu wolnych poszukiwaczy złota. Złoto przemylali więźniowie, ale tam oni już byli bardzo pilnowani. Zdarzało się znajdować duże samородki złota. Podobno kiedyś więzień znalazł samorodek o wadze 2 kg i znalazł zwolnili z łagru....

Ponieważ ja zawsze wyrabiałem ponad te 100% normy, więc dostawałem 900 g chleba – mokrego, zbitego. Wkładałem go do kieszeni buszłaka i w czasie "rozvodu" jadłem go. W południe w pracy dostawaliśmy przywozili tę zupę, czasem nawet gęstą, a wieczorem

- kipiatok. I to wszystko. Pajkę dostawało się tylko raz dziennie. - rano.

Można było chorować - wtedy nie szło się do pracy. Jak ktoś zostawał i przychodziło się z pracy do baraku to czuło się zapach przypiekanego chleba - ci, co zostawali przypiekali sobie chleb na blasze piecyka. To bardzo przyjemnie pachniało.

Mieszkaliśmy w drewnianych barakach. W środku obozu mieszkali strażnicy, a nasze baraki były po obu stronach. Obóz był otoczony kolczastym drutem, wyszek nie było.

Do pracy chodziliśmy z jednym konwojentem. Psów nie było. W pruisku "przejmowali" nas cywilni pracownicy, którzy kończyli płukanie złota w butarze (opis butaru i płukania złota - znany).

Z tego obozu żadnych Polaków ani żadnych nazwisk nie pamiętam.

Wiadomość o wubuchu wojny niemiecko-radzieckiej dotarła do nas na Kołymie - od władz.

O amnestii dla Polaków dowiedziałem się w czasie pracy - powiedział mi o tym "striełok". Powiedział: "pojdiesz w armiju" - pytam do jakiej i na jakiej podstawie? - "do Polski pojedziesz" - odpowiedział. Było to we wrześniu 1941 r.

Przywieziono mnie do Magadanu. Tam już byłem krótko, bo w październiku wracaliśmy statkiem. Czekaliśmy na transport, jechałem ostatnim statkiem w tym sezonie żeglugowym. Wracało nas tym statkiem 5-7 Polaków. To był rejs nie związany z więziennictwem, myśmy byli już bez nadzoru, nawet dali nam 303 ruble odprawy.

Czekając w Magadanie na statek chodziliśmy jeszcze do pracy - z konwojem. Chodziło nas 4-5. Ja chodziłem we dwójkę z takim Rosjaninem (?). Tam były same amerykańskie urządzenia - sprzęt, nawet domki dla straży były z półfabrykatów amerykańskich. Przewożono je na zachód. Na tym moim pryisku przylatywał amerykański samolot ("Katylin") i zabierał stamtąd złoto w specjalnych, mniejszych niż normalne - woreczkach. Tak mówili.... Te woreczki były z czarnej skóry, rodzaju zamszu, wyprawionej tak, że wyglądała jak wylakierowana. Nie wiem jaka była waga złota w tych woreczkach. Widziałem tylko jak je ładowali: samolot podleciał do pomostu nad jeziorem i rzucali do niego te woreczki. Podobno ten "mój" pryisk był bardzo wydajny w złoto.

Po wyjeździe z Kołymy przyjechaliśmy do Pietropawłowska, a potem do Akmolińska. Tam miała być polska komisja poborowa, ale jak przyjechalismy to już nikogo nie było. W wojen-komacie powiedzieli, że mamy jechać na południe Kazachstanu, bo tam jest nasze wojsko. Ta droga nie była taka prosta. Musieliśmy wrócić do Pietropawłowska. Trzeba było coś jeść. Jadąc z Władywostoku nasza



grupa – chyba 9–ciu organizowała sobie jedzenie w ten sposób, że na stacji szło się na milicję albo <sup>do</sup>wojen–komatu, tam pokazywaliśmy nasze papiery o zwolnieniu i dostawaliśmy chleb. Przeważnie szło trzech i mówiło, że jest nas 9–ciu – i dawali dla tylu. Tego chleba było tak dużo, że jeszcze go sprzedawaliśmy i za to kupowaliśmy inną żywność.

W Akmolińsku zorganizowaliśmy grupę czterech. Ja byłem najmniej rzutki, siedziałem i pilnowałem rzeczy, a inni zdobywali jedzenie.

Jadąc na południe przez Birobidżan była taka śmieszna sytuacja: tam rzeczywiście było sporo Żydów, a w pociągu siedzieli na dolnych siedzeniach z kobiałkami i całą drogę podjadali. Myśmy zawsze wstąpili na najwyższą półkę, bo tam można było spać. Ja zawsze miałem słaby zarost, wtedy jeszcze się nie goliłem, byłem chudy i może rzeczywiście rysy moje przypominały trochę semickie. Jadący na dole Żydzi popatrywali na nas, czasem zaczynali z nami rozmawiać, pytali kim jesteśmy, czasem nas częstowali. Mnie się pytali, czy czasem nie jestem Żydem i częstowali więcej.

W końcu przyjechaliśmy do Arysu (Aryś?) w Taszkencie – na południe od Ałma–Aty. Tam okazało się, że polskiej komisji też już nie ma, a transport Polaków tam czekających był bardzo liczny. Więc rusczy zaczęli nas rozsyłać po kołchozach.

Tekst nie nagrany – spisany (do uzupełnienia przez autora),

W Arysiu spędziliśmy całą zimę (z 41\42). Mieszkaliśmy u Kaczaków, którzy nas żywili. Pod koniec pobytu miałem nogi opuchnięte z głodu tak, że nie mogłem zdjąć już butów.

Tworzyliśmy tam grupkę 4–ech czy 5–ciu. Kilku było bardzo zaradnych, jeden z nich wyplatał koszyki z wikliny i sprzedawał, inni kradli jarzyny i zboże ze stogów. Poza tym łapaliśmy ryby w strumykach – zwanych "arik".

Pod koniec stycznia dostaliśmy wezwanie do stacji Czokpak (Czok–Pak?), gdzie zaczynała się formować VIII Dywizja piechoty. Dowódcą kompanii zbornej był lekarz Niedzielski (lekarz powiatowy z białostockiego). Ja zostałem u niego sanitariuszem, trochę pracowałem w kancelarii.

W miejscowości Szachty była łaźnia – tam palono nasze obozowe ubrania. Ale mimo to zaczął panować tyfus i ja zachorowałem – leżałem 12 dni w ziemlance.

Dopiero w marcu 1942 r. wyjechaliśmy do Krasnowodska. W Kaganie – po drodze – zmarł w pociągu żołnierz. W obawie przed epidemią – pozostałych zabrali na kwarantannę – m.in. mnie. Posadzi-

li nas – bardzo wielu – w szpitalu. Ja leżałem sam jeden, zacząłem dużo jeść, dostałem biegunki i temperatury – byłem przekonany, że to znowu tyfus. Po pewnym czasie uspokoiło się. Miałem ropień pod kolaniem (zawitaminozy), ale zoperował mi go lekarz – Żyd. Został jednak przykurcz kolana.

W tym szpitalu leżałem do sierpnia, potem przenieśli mnie do szpitala miejskiego i leżałem wśród ruskich. Fryzjer szpitalny (Żyd) ostrzegał, że ostatni Polacy już wyjeżdżają. Sprzedałem więc co mogłem i z laską (kolano) pojechałem do "męża zaufania" na stacji w Kaganie. Dał mi 100 rubli i kazał jechać do Kamyszy do kompanii ozdrowieńców.

Do Krasnowodskaja jechałem bez broni. Pierwszy karabin dostałem w Teheranie. W Pahlewi czekali na nas Anglicy. Były tam szalasy na plaży. Tam ponownie dostałem biegunki... Okropne było to ciągle latanie do latryny, ale dzięki temu wyleczyłem nogę (wugimnastykowałem).

Później był Teheran, Włochy (w VIII płk. art. ciężkiej – obsługa radarów). Nasz pułk nie podjechał pod Monte Cassino. Potem Loretto, Ankona – rok we Włoszech po zakończeniu wojny. Odbywało się szkolenie wojskowe dla Polaków – np. dla Ślązaków. Ja dostałem stopień kapitana podchorążego. Wyjechałem na południe – w III PAL, a jesienią 1946 r. – do Anglii. Tam odbywałem dalszą służbę

w PRC (Polski Korpus Przysposobienia) i wreszcie – demobilizacja. W Anglii pierwszy raz dostałem wiadomość, że rodzice żyją – poprzez korespondencję innych ludzi. Okazało się, że rodzice z bratem są w Bytomiu. Napisałem do nich – ojciec kazał wracać do kraju.

Do Polski przyjechałem w lipcu 1947 r. – do Gdańska. Tam wyładowałem rzeczy, urzędnicy skarbowi dali papierek o wymianie dewiz (legalnej), ostrzegali przed posiadaniem broni. Po zejściu pasażerów ze statku – widać było szpaler żołnierzy z karabinami, za nimi wysoki płot, a dopiero za płotem tłum oczekujących.

Jechaliśmy (dokąd?.....) wagonami towarowymi czerwonymi – takimi samymi jak na kolei transsyberyjskiej. Wchodziło po 24 ludzi, na stopniach stał konwojent z karabinem. Wpuścili nas do ogrodzonego budynku z celami i zakratowanymi oknami. Wyładowali nasze rzeczy. Przyszli celnicy zobaczyć co mamy do oclenia. Potem czekało się na papiery demobilizacyjne. Ja czekałem trzy dni (!), dopiero ojciec zaczął sprawę załatwiać: dał parę nyłonów i za kilka godzin dostałem papiery.

Z rodzicami pojechałem do Głucholazów, potem skończyłem studia medyczne w Zabrze-Rokitnicy. Pracowałem jako lekarz na Akademii Medycznej w Zabrzu .

W 1954 r. ożeniłem się, mam jednego syna – skończył architekturę. Ja obecnie jestem na emeryturze. .



I/873

Mieczysław Gachowski

(relacja nagrana w lipcu 1995r. w Gliwicach  
przez Małgorzatę Giżejewską)

Urodziłem się w 1920 r.

W 1939 r. byłem po maturze. W szkole należałem do harcerstwa, ale moja sprawa dotyczyła czego innego. Już po wybuchu wojny zaczęła się tworzyć taka siatka oporu. I po 17 września zaczęły się aresztowania wszystkich podejrzanych o jakąkolwiek działalność.

Ja w zasadzie jeszcze nic nie wiedziałem, bo byłem dopiero po rozmowie z moim kolegą, który proponował zorganizowanie takiej grupy. Ja się oczywiście zgodziłem, ale nic jeszcze nie zdążyliśmy zrobić. Jesienią złożyliśmy przysięgę. Fala aresztowań trwała już od jesieni; co 2 tygodnie zabierali kogoś – i to właśnie z naszego grona – studentów z młodszych lat, maturzystów itp.

Mieszkaliśmy w Brodach. Ojciec był nauczycielem gimnazjalnym, matka też nauczycielką, ale w tym czasie już nie pracowała.

Pod koniec roku, kiedy aresztowania się wzmogły rodzice powiedzieli mi, że nie ma na co czekać, bo mnie też zaaresztują i zaproponowali wyjazd do babci mieszkającej we Lwowie. I pojechałem do Lwowa. Tam bardzo dobrze mi się powodziło, bo handlowałem czym się dało (wódkę wozilo się na wieś, tam się kupowało mięso, słoninę itd.).

Po pewnym czasie zorientowałem się, że jednak jestem uciążliwym gościem dla babki – jako młody człowiek lubiący towarzystwo itd., więc po naradzie telefonicznej z ojcem pojechałem do stryjka do Baranowicz. W konspiracji jeszcze nie działałem, byłem tylko potej wstępnej, wspomnianej rozmowie z kolegą.

Po dwumiesięcznym pobycie w Baranowiczach dowiedziałem się, że w Brodach nic się nie dzieje, jest spokojnie, więc wróciłem do domu. Ja się z domu nie ruszałem, ojciec pracował w jakiejś ruskiej szkole. Myśmy wszyscy wychowali się wśród Ukraińców i Białorusinów, więc każdy z nas mówił dobrze po rusku i po ukraińsku. Były tam różne hajdamackie wybryki....

Nas w klasie było 34, w tym 14-tu Polaków, kilkunastu Ukraińców i prawosławnych, a reszta Żydzi. Ja mam nawet do tej pory takie szkolne tableau, metrykę z kościoła, świadectwo maturalne – matka wszystko zachowała. Jeśli chodzi o stosunki w szkole to

czasem, owszem pociągnęło się Żyda za pejsy, a Ukraińcowi powiedziało się to i owo, ale za chwilę wszystko było w porządku i razem graliśmy w piłkę, chodziliśmy na ryby itp. Ja nie widziałem żadnego prześladowania innych narodowości ze strony Polaków. A NKWD aresztowało równo wszystkich. Dyrektorem naszej szkoły był pan Sołtysik – pan z wielkimi wasami – też dawny Sybirak – jeszcze za cara. Wykładał łacinę i mowy nie było o jakiegokolwiek dyskryminacji, każdemu się dostało, bez względu na narodowość, zresztą ja sobie nie wyobrażam tego. Było dwóch nauczycieli Żydów – dr Berchaud (?) – historyk i polonista – fantastyczny człowiek, a drugi – dr Czaczkis Mendel....., nazywany przez nas Leśzek-Mieszek – uczył niemieckiego. Późno zaczął nas uczyć, a przedtem był Ukrainiec – prof. Cinciruk, ale ten nie umiał uczyć – do dzisiaj nie umiem po niemiecku. I żadnej dyskryminacji nie było. Ale były inne problemy – na innej płaszczyźnie.

Po jakimś czasie przychodzi goniec do domu z zawiadomieniem z magistratu, że mam się stawić do wojska – czyli do Armii Czerwonej. I – proszę sobie wyobrazić, że ja poszedłem do magistratu. Nie widziałem innego wyjścia, bo gdybym nawet uciekł, to represje spotkałyby rodziców. W magistracie podałem żądane dokumenty takiemu wojskowemu rosyjskiemu. Była taka duża sala, jak zwykle w komisjach poborowych, ale tu ja byłem sam jeden. Kazał mi zaczekać, za chwilę przyszedł jakiś cywil, coś poszeptali i zwracają się do mnie: wojskowy wyciąga z kieszeni rewolwer i pyta, czy ja wiem co to jest. Mówię, że wiem – rewolwer. A on: "Teraz zrobisz krok w lewo, krok w prawo, będę strzelał bez uprzedzenia, a teraz rece do tyłu i chodź ze mną." – Ja nie wiedziałem o co chodzi, a on mnie po prostu w taki sposób aresztował! Dopiero po pewnym czasie dowiedziałem się, że chodziło o tę organizację "o której wiedziałem, a nie doniosłem". – Był to 52 art. k.k.

Był to początek lata 1940 r. Jakiś czas siedziałem w Brodach.

W Brodach milicja była złożona z miejscowych ludzi – przeważnie z Ukraińców. Jeden z nich od razu poszedł do moich rodziców i zawiadomił ich o moim aresztowaniu. Matka naszykowała mi zaraz jakieś ubranie (wyszedłem przecież w samej koszuli), spytała, czy może dać mi coś do jedzenia, milicjant się zgodził i wszystko przyniósł mi do więzienia. Z okna więzienia – daleko za murem można było coś zobaczyć, więc matka często tam przychodziła i kiwałam do siebie.

Każdy z nas miał oddzielną celę. Śledztwo trwało ze dwa tygodnie – o różnych porach doby. Pytali bez przerwy o to samo – nazwiska, kto mi powiedział o tej organizacji, kogo znam itd. A ja już wiedziałem, że ten kolega, z którym rozmawiałem o organizacji – już siedzi, bo widziałem go jak spacerował na podworku więziennym. Podałem więc jego nazwisko. Okazało się, że "on skazał to samo". Powiedziałem wszystko co wiedziałem, bo niewiele wie-

działem. Oni ciągle nie mogli uwierzyć, że nikomu więcej o tej organizacji nie powiedziałem. A ja nie mówiłem, bo nie miałem komu mówić.

W końcu kazali mi przeczytać i podpisać protokół. Broniłem się, że nie umiem czytać po rosyjsku, mówię tylko po ukraińsku, ale w końcu podpisałem. Po śledztwie siedzieliśmy już we wspólnej celi.

Wkrotce przewieźli nas do Złoczowa – w lutym 1941 r. Tam była rozprawa. Sądziła nas "Trójka". Pozwolili nawet rodzinom przyjechać na ten sąd. W tej mojej sprawie sądzono 24 osoby, tych, którzy należeli, którzy byli wodzami... Ja z kolegą Zbyszkiem Matuszyńskim mieliśmy ten sam paragraf – 52. Ale ja dostałem 5 lat obozów pracy, a on tylko 3 lata zsyłki do Krasnojarska – nie wiem dlaczego. Jeden z kolegów – Mieczysław (Dzidek) Freudenberger (mieszka teraz w Anglii) też dostał 5 lat. Również był na Kołymie i był najbardziej poszkodowany bo stracił tam oko. Jego brat – Bolesław Freudenberger dostał wyrok śmierci, podobnie jak ich kuzyn Stefan. Ich przewieziono ze Złoczowa do Winnicy. I stamtąd udało się im uciec – w trakcie jednego z nalotów (już w 41 r.?).

W Londynie mieszka jeszcze Tadek Skupień – też był z naszej sprawy.

W Złoczowie siedziałem niedługo – jeszcze był śnieg jak jechaliśmy koleją transsyberyjską. Nie wiedzieliśmy oczywiście gdzie jedziemy. W wagonie było nas 40-tu. Były to czerwone towarowe wagony z piecykiem w środku i z otworem do załatwiania się. Z jedzeniem było śmiesznie, bo im dalej w głąb Rosji, to dostawaaliśmy coraz większe ryby.

Ze Złoczowa najpierw przewieźli nas do Charkowa – do więzienia. Przy każdym dłuższym postoju rozdzielali nas, mieszało, potem znów rozdzielali – i tak cały czas. Byliśmy oczywiście z kryminalnymi i to z samą "wierchuszką".

W Charkowie w celi było nas 60-ciu. Połowę celi zajmowali "bytowicy", reszta była dla politycznych. Wśród nich: Polacy, Rumuni, Mołdawianie, Lotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy – zupełnie wymieszani. Wśród nich byli i zupełnie analfabeci, i rolnicy, i inteligencja, byli pod 60-kę, byli i 18-letni – każdy mówił, że siedzi za nic.

W tej celi prowodyrem był bandzior, chyba jakiś morderca, prymityw. Miał takiego pomocnika–zausznika, rzekomo inżyniera wojsk kolejowych, który siedział za to, że jakąś lokomotywę zamienił na wódkę.razem z nimi trzymał się kapitan żeglugi wielkiej handlowej, który siedział za to, że jego matka była Polką, a on powiedział, że to zajęcie Polski przez Sowietów było niepotrzebne. Kapitan bardzo ładnie śpiewał. Czasem, jak herszt się rozczulił, to kazał mu śpiewać; do dziś pamiętam jego piosenki.



Z Charkowa po pewnym czasie wyjechaliśmy nie wiadomo gdzie. Myśmy (polityczni) siedzieli w kącie i baliśmy się oddychać – przed tymi błatnymi. A oni zrobili sobie dziurkę przy drzwiach i obserwowali przez jakie stacje jedziemy. Były to: Penza, Orzeł, Swierdłowski Za Uralem (którym się zachwycałem – był śliczny) zaczęli nam drzwi otwierać.

Jedzenie było znośne. W Penzie dostaliśmy rybki – tiulki i kociołki wody (wrzątku z lokomotywy. Muszę przyznać, że pragnienia specjalnie nie odczuwałem, tylko ryb przedtem nie lubiłem..W Pietropawłowsku dostaliśmy "kamsę" – już dość dużą rybę, a za Irkuckiem to ryby były olbrzymie. Wszystkie były oczywiście suszone i solone. od czasu do czasu dawali zupę – owsiankę – "uchę", w której pływały rzadkie ziarna owsa i ości ryb.

Po drodze odczepiali wagony i zostawiali ludzi – czasem po prostu wyrzucali w śnieg, zwłaszcza w Kraju Krasnojarskim.

Myśmy dojechali do Buchty Nachodka. Tam był obóz przejściowy, w którym było może kilkuset więźniów (tak mi się wydaje). Tam pracowałem w brygadzie, która w porcie rozładowywała amonit (materiał wybuchowy).

Nie pamiętam momentu załadowania na statek ani nazwy statku. Był duży towarowy. W ładowni, w której ja siedziałem było nas bardzo dużo. W czasie całej podróży dostaliśmy dwa razy chleb....

## I B

Chleb przynosili w bochenkach. Zdajesię, że jeden bochenek był na sześciu ludzi – kto zdobył to miał. Na podstawie ilości tych bochenków, które przynoszono do nas obliczma, że było nas.....

Raz zdarzyło się, że jakiś żulik – 14–16–letni – rozciął nożem tę plachtę z chlebem, wszystko się rozsypało, ludzie się rzucili, było okropne zamieszanie, strażnicy wyszli na pokład – "róbcie sobie co chcecie".

Na pokład można było wychodzić tylko za swoją potrzebą o oznaczonej porze. Płynęliśmy cieśniną La Perouse' a. jak zbliżaliśmy się do wusp japońskich to strażnicy zeszli na dół z bronią gotową do strzału i kazali nam być zupełnie cicho. Rzekomo kiedyś był jakiś bunt na statku, wrzawa, podpłynęli Japońcy i zabrali więźniów.

Nie potrafię powiedzieć ile czasu płynęliśmy. W Magadanie znowu czekaliśmy na uformowanie konwoju. Zaprowadzili nas do obozu przejściowego. W moim baraku była chyba setka ludzi. Oprócz mnie niebyło żadnego Polaka. w tym obozie pracowaliśmy przy jakichś pracach porządkowych – czekając na transport. Cały czas byliśmy kryminalnymi, ale to się już zaczęło zacierać – nawet w

tak krótkim czasie. Na statku było strasznie, bo krymianlnych było bardzo wielu. Ale w Magadanie rządził już "starszy" – to mógł być i kryminalny i polityczny – zależy, który przejął inicjatywę. I np. w stołówce "starszy" opiekował się i rządził czwórką więźniów. Np. w stołówce on rozdawał zupę – do jednej miski na czterech i dawał po kolei i sprawiedliwie każdemu. Tam też dawali zupę z "galuszkami" z owsa. Łyżki mieliśmy drewniane – dali nam w obozie, a później sami sobie robiliśmy. Miski też były obozowe – blaszane.

Z Magadanu pojechaliśmy na pryisk złota. Jechaliśmy dwa dni na północny-zachód. Tam nie było żadnego posiołka, żadnej nazwy, więc zupełnie nie wiem jak się ten pryisk nazywał. Wydaje mi się, że było to w pobliżu Siejmczanu, ale nie jestem pewny.

Krajobraz Kołymy bardzo mi się podobał – naprawdę było tam bardzo ładnie. Ja zawsze marzyłem aby podróżować koleją transsyberyjską....

W tym nowym obozie (baraki już były zbudowane – drewniane – jak wszędzie) pierwszego dnia zapoznali nas z porządkiem dnia. Praca trwała 12 godzin – albo w dzień albo w nocy. A ponieważ były białe noce to nie miało znaczenia.

Brygadierem w pracy też był więzień i tak potrafił ustawić robotę i dogadać się z władzami, że ja np. zawsze wyrabiałem normę powyżej 100%.

Trzeba było rozpalac ogniska żeby rozmrozić wierzchniąwarstwę gruntu (wieczna zmarzlina) i dostać się do piasków złotonośnych. Te ogniska musiały palic sie całą dobę. Potem kopało się szurfy, czasem na głębokość 50 cm, czasem takie, że cały człowiek się schował. Urobek trzeba było wywozić taczkami. ponieważ ja byłem słabi rozwinięty fizycznie (taki inteligencik 20-letni) wie było mi ciężko. Noema była obliczana w metrach szesciennych ziemi; dzienna norma na jedna brygadę (14 ludzi) wynosiła 14msześć. ziemi.

do płukania złota z tego urobku słyżyła tzw. butara – rodzaj sit z pochylonum dnem. Najpierwrobiło się odwierty i badalo próbki – czy opłacało się w danym miejscu kopać. to robili geolodzy. Poza tym było wielu wolnych poszukiwaczy złota. Złoto przemylwali więźniowie, ale tam oni już byli bardzo pilnowani. Zdarzało się znajdywać duże samorodki złota. podobno kiedyś więzień znalazł samorodek o wadze 2 kg i znalazcę zwolnili z łagru....

ponieważ ja zawsze wyrabiałem ponad te 100% normy, wiec dostawalem 900 g chleba – mokrego, zbitego. wkładalem go do kieszeni buszłaka i w czasie 'rozvodu jadłem go. w południe w pracy dostawaliśmy przywozili tę zupę, czasem nawet gesta, a wieczorem – kipiatak. i to wszystko. Pajkę dostawało się tylko raz dziennie. rano.

można było chorować – wtedy nie szło się do pracy. jak ktoś zostawał i przychodziło się z pracy do baraku to czuło się zapach przypiekanego chleba – ci, co zostawali przypiekali sobie chleb na blasze piecyka. To bardzo przyjemnie pachniało.

Mieszkaliśmy w drewnianych barakach. W środku obozu mieszkali strażnicy, a nasze baraki były po obu stronach. Obóz był otoczony kolczastym drutem, wyszek nie było.

Do pracy chodziliśmy z jednym konwojentem. Psów nie było. w pruisku "przejmowali" nas cywilni pracownicy, którzy kończyli płukanie złota w butarze (opis butaru i płukania złota – znany).

Z tego obozu żadnych Polaków ani żadnych nazwisk nie pamiętam.

Wiadomość o wubuchu wojny niemiecko-radzieckiej dotarła do nas na Kołymie – od władz.

O amnestii dla Polaków dowiedziałem się w czasie pracy – powiedział mi o tym "strielok". Powiedział: "pojdiesz w armiju" – pytam do jakiej i na jakiej podstawie? – "do Polski pojedziesz" – odpowiedział. Było to we wrześniu 1941 r.

Przywieziono mnie do Magadanu. tam już byłem krótko, bo w październiku wracaliśmy statkiem. Czekaliśmy na transport, jechałem ostatnim statkiem w tym sezonie żeglugowym. Wracało nas tym statkiem 5–7 Polaków. to był rejs nie związany z więziennictwem, myśmy byli już bez nadzoru, nawet dali nam 303 ruble odprawy.

Czekając w Magadanie na statek chodziliśmy jeszcze do pracy – z konwojem. Chodziło nas 4–5. ja chodziłem we dwojkę z takim Rosjaninem (?). Tm były same amerykańskie urządzenia – sprzęt, nawet domki dla straży były z półfabrykatów amerykańskich. Pezewożono je na zachod. Na tym moim przyisku przylatywał amerykański samolot ("Katylin") i zabierał stamtąd złoto w specjalnych, mniejszych niż normalne – woreczkach. Tak mówili....Te woreczki były z czarnej skóry, rodzaju zamszu, wyprawionej tak, że wyglądała jak wylakierowana. Nie wiem jaka była waga złota w tych woreczkach. Widziałem tylko jak je ładowali: samolot podleciał do pomostu nad jeziorem i rzucali do niego te woreczki. Podobno ten " mój" przyisk był bardzo wydajny w złoto.

Po wyjeździe z Kołymy przyjechaliśmy do Pietropawłowska a potem do Akmolińska. Tam miała być polska komisja poborowa, ale jak przyjechalismy to już nikogo nie było. W wojen-komacie powiedzieli, że mamy jechać na południe Kazachstanu, bo tam jest nasze wojsko. Ta droga nie była taka prosta. Musieliśmy wrócić do Pietropawłowska. Trzeba było coś jeść. jadąc z Aładywostoku nasza grupa – chyba 9–ciu organizowała sobie jedzenie w ten sposób, że na stacji szło się na milicję albo wojen-komatu, tam pokazywaliśmy nasze papiery o zwolnieniu i dostawaliśmy chleb. Przeważnie szło trzech i mówiło, że jest nas 9–ciu – i dawali dla tyłu. Te-



go chleba było tak dużo, że jeszcze go sprzedawaliśmy i za to kupowaliśmy inną żywność.

'W Akmolińsku zorganizowaliśmy grupę czterech. Ja byłem najmniej rzutki, siedziałem i pilnowałem rzeczy, a inni zdobywali jedzenie.

Jadąc na południe przez Birobidżan była taka śmieszna sytuacja: tam rzeczywiście było sporo Żydów, a w pociągu siedzieli na dolnych siedzeniach z kobialakami i całą drogę podjadali. Myśmy zawsze wstawiali na najwyższą półkę, bo tam można było spać. Ja zawsze miałem słaby zarost, wtedy jeszcze się nie goliłem, byłem chudy i może rzeczywiście rysy moje przypominały trochę semickie. Jadący na dole Żydzi popatrywali na nas, czasem zaczynali z nami rozmawiać, pytali kim jesteśmy, czasem nas częstowali. Mnie się pytali, czy czasem nie jestem Żydem i częstowali więcej.

W końcu przyjechaliśmy do Arys (Aryś?) w Taszkencie – na południe od Alma-Aty. Tam okazało się, że polskiej komisji też już nie ma, a transport Polaków tam czekających był bardzo liczny. Więc rusczy zaczęli nas rozsyłać po kolchozach.

Tekst nie nagrany – spisany (do uzupełnienia przez autora)

W Arysiu spędziliśmy całą zimę (z 41\42). Mieszkaliśmy u Kazachów, którzy nas żywili. Pod koniec pobytu miałem nogi opuchnięte z głodu tak, że nie mogłem zdjąć już butów.

Tworzyliśmy tam grupkę 4-ech czy 5-ciu. Kilku było bardzo zaradnych, jeden z nich wyplatał koszyki z wikliny i sprzedawał, inni kradli jarzyny i zboże ze stogów. Poza tym łapaliśmy ryby w strumykach – zwanych "arik".

Pod koniec styczniadostaliśmy wezwanie do stacji Czokpak (Czok-Pak?), gdzie zaczynała się formować VIII Dywizja piechoty. Dowodcą kompanii zbornej był lekarz Niedzielski (lekarz powiatowy białostockiego). Ja zostałem u niego sanitariuszem, trochę pracowałem w kancelarii.

W miejscowości Szachty była łaźnia – tam palono nasze obozowe ubrania. Ale mimo to zaczął panować tyfus i ja zachorowałem – leżałem 12 dni w ziemlance.

Dopiero w marcu 1942 r. wyjechaliśmy do Krasnowodska. W Kaganie – po drodze – zmarł w pociągu żołnierz. W obawie przed epidemią – pozostałych zabrali na kwarantannę – m.in. mnie. Posadzili nas – bardzo wielu – w szpitalu. Ja leżałem sam jeden, zacząłem dużo jeść, dostałem biegunki i temperatury – byłem przekonany, że to znowu tyfus. Po pewnym czasie uspokoiło się. Miałem ropień pod kolanem (zawitaminozy), ale zoperował mi go lekarz – Żyd. Został jednak przykurcz kolana.

W tym szpitalu leżałem do sierpnia, potem przenieśli mnie do szpitala miejskiego i leżałem wśród ruskich. Fryzjer szpitalny (Żyd) ostrzegał, że ostatni Polacy już wyjeżdżają. Sprzedałem więc co mogłem i z laską (kolano) pojechałem do "męża zaufania" na stacji w Kaganie. Dał mi 100 rubli i kazał jechać do Kamyszy do kompanii ozdrowieńców.

Do Krasnowodska jechałem bez broni. Pierwszy karabiniem dostałem w Teheranie. W Pahlewi czekali na nas Anglicy. Były tam szalasy na plaży. Tam ponownie dostałem biegunki... Okropne było to ciągle latanie do latryny, ale dzięki temu wyleczyłem nogę (wugimnastykowałem).

Później był Teheran, Włochy (w VIII płk. art. ciężkiej - obsługa radarów). Nasz pułk nie podjechał pod Monte Cassino. Potem Loretto, Ankona - rok we Włoszech po zakończeniu wojny. Odbywano szkolenie wojskowe dla Polaków - np. dla Ślązaków. J dostałem stopień kapitana podchorążego. Wyjechałem na południe - w III PAL, a jesienią 1946 r. - do Anglii. Tam odbywałem dalszą służbę

w PRC (Polski Korpus Przysposobienia) i wreszcie - demobilizacja. W Anglii pierwszy raz dostałem wiadomość, że rodzice żyją - poprzez korespondencję innych ludzi. Okazało się, że rodzice z bratem są w Bytomiu. Napisałem do nich - ojciec kazał wracać do kraju.

Do Polski przyjechałem w lipcu 1947 r. - do Gdańska. Tam wyladowałem rzeczy, urzędnicy skarbowi dali papirek o wymianie dewiz (legalnej), ostrzegali przed posiadaniem broni. Po zejściu pasażerów z statku - widać było szpaler żołnierzy z karabinami, za nimi wysoki płot, a dopiero za płotem tłum oczekujących.

Jechaliśmy (dokąd?.....) wagonami towarowymi czerwonymi - takimi samymi jak na kolei transsyberyjskiej. Wchodziło po 24 ludzi, na stopniach stał konwojent z karabinem. Wpuścili nas do ogrodzonego budynku z celami i zakratowanymi oknami. Wyladowali nasze rzeczy. Przyszli celnicy zobaczyć co mamy do oclenia. Potem czekało się na papiery demobilizacyjne. Ja czekałem trzy dni (!), dopiero ojciec zaczął sprawę załatwiać: dał parę nyłków i za kilka godzin dostałem papiery.

Z rodzicami pojechałem do Głuchołazów, potem skończyłem studia medyczne w Zabrze-Rokitnicy. Pracowałem jako lekarz na Akademii Medycznej w Zabrzu .

W 1954 r. ożeniłem się, mam jednego syna - skończył architekturę. Ja obecnie jestem na emeryturze .